



5th Mózg Festival

INTERNATIONAL CONTEMPORARY MUSIC & VISUAL ARTS FESTIVAL

www.mozg.art.pl

jednodniówka festiwalowa - 28 listopada 2009

ZMIENNE BARWY POSZUKIWAŃ

tekst: Mikołaj Zieliński, Joanna Pluta

zdjęcia: Krzysztof Pawłowski

PIWNICZNY LUKSUS

Trzeci dzień festiwalu zacząłem od odwiedzin w siedzibie Szkoły Bydgoskiej, dyżurującej przy ulicy Chodkiewicza 24, rozszerzającej festiwal o przestrzeń piwniczną. Artyści okazali się być wyposażeni w pewien zestaw wspomnień, który był obecnym częściowo fizycznie (w postaci meblościanki i otaczających mnie form wizualnych), częściowo psychicznie (poprzez ciągly strumień myślowy). Wpleciony wnet w pewną ciągłość rozważań trzech członków grupy (ZbyZiel, Krzysztof Gruse, Stanisław Stasiulewicz), zachowałem postawę dość bier-

ną (nie zdążyłem przed wyjściem z domu wypić kawy) acz nasłuchującą. Dowiedziałem się między innymi tego, że Szkoła Bydgoska jest szczęśliwa, gdyż ma wolną strefę psychiczną i zajmuje się własnymi sprawami, nie przejmując się tym, co leży na powierzchni, a raczej tym, co spada z góry. Podczas rozmowy podniesione zostały m.in. kwestie dylematu – czy nie zgadzać się czy latać oraz czy należy dać sobie odebrać kolejne słowo, które nad wyraz dobrze pasuje. Wspomniany został również temat piwnicy jako elementu kojarzonego niegdyś z undergroundem, a współcześnie stanowiącym pewien luksus, który być może w niedalekiej przyszłości znajdzie sobie pewną stabilną rzeszę zwolenników.



fot. ZbyZiel



fot. ZbyZiel

Przywołując Szkołę Bydgoską również chciałbym wspomnieć o obrazie jednego z jej członków – Stanisława Stasiulewicza, wiszącym na północnej ścianie Muzeum Okręgowego. Obraz ów, namalowany ręcznie i niepodległe w nocy 11 listopada bieżącego roku w pustym foyer Teatru Polskiego, stanowi swoistą improwizację malarza, grafikę muzyczną wpisaną swą wewnętrzną i stopniowo uzewnętrzniającą się formą w geometrię piątego Mózg Festivalu.

mz

IMPONUJĄCA NIEWIELKOŚĆ

Gdy dotarłszy do teatru usadowiłem się już w miejscu siedzącym w oczekiwaniu na kolejną odsłonę muzyczną, moim oczom ukazał się wielobarwny i imponujący w liczebności zestaw instrumentów umiejscowiony na scenie. Po chwili prowadzący imprezę Tomasz Kaźmierski zapowiedział odpowiedzialnych za tę instrumentalną feerię muzyków – wrocławską grupę Małe Instrumenty. Czterech muzyków (w sumie w zespole jest ich pięciu, ale brakujący piąty podobno rodzi) pojawiło się na scenie wprowadzając powoli słuchaczy w niezwykle nastrój. Pierwszy utwór przywoływał skojarzenia wodne, morskie – chlupocząc, szumiąc, ptasząc i wydobywając płynny pejzażowy klimat z nagromadzonych piszczałek, blaszek tudzież zabawek w stylu wirującego bąka czy wanianiej kaczuszki. Temat napędzony elektroniką przez lidera grupy wnet zagaścił się przechodząc w pewną chaotyczność, która wtem opadła pozostawiając dźwięki kalimby i jakby szurania przekładanych naczyń, akcentując pewien puls i opadając w baśniową melodykę. W drugim utworze sceny maszyną pukająco-gwiżdżącą, przywodzącą mi na myśl *Bajki Robotów* Stanisława Lema. Owa maszyna wyznaczała jakby taśmowo-zegarowy rytm rozwijającej się

kompozycji. Pośród stukotu pojawiły się małe akordeonki i falujące akordy małej gitary oraz nakręcana sprężynowa zabawka. Rytm za pośrednictwem szerokiej gamy perkusjonaliów począł nabierać pędu, po czym wcześniej wspomniana maszyna została wyłączona i muzycy opadli po kolei przechodząc z synchronicznie używanych korbek na małe instrumenty dęte – fujarki i melodyki, zwieńczone cymbałkami. Kolejny utwór objawił się jako kwartet fortepianowy na 3 małe fortepiany i jedno pianino. Muzycy wykonali tenże kwartet ustawieni na kłęczkach przed instrumentami, w rytmie walczyka. Bujający infantylizm kompozycji wybitnie przypadł do gustu publiczności (i mnie razem z nią) nagradzającej muzyków gromkimi brawami. Czwarty temat objawił bardziej elektroniczne oblicze grupy. Rozpoczął się od podkładu z małego samplera, do którego dołączyła mała gitara elektryczna i osobliwy lejkowaty instrument z wibrującymi kulkami, po którego lejkach przejeżdżał smyczkiem jeden z członków grupy. W rękach jego kolegi do donośnego głosu doszła elektroniczna wyjąca wajcha, nawarstwiająca strumienie kosmicznych dźwięków, którym wtórowały piszczące instrumenty długopisowe i inne niezgłębione przeze mnie wynalazki. Gdy

dźwiękowe fale uspokoiły się powrócił temat grany na elektrycznej gitarze, kończąc łagodnie utwór. Ostatnia kompozycja rozpoczęta została kołatkowymi dzwoneczkami, w które miarowo wpleciono osobliwą deskową kalimbo-marimbę oraz ukulele, które naznaczyło finał pewną orientálną tajemniczością, pozostawiając po zakończeniu występu widownię w specyficznym duchowym zaciekwaniu. mz



MAŁA WIELKA DŹWIĘKOWA MENAŻERIA

Parę minut po dwudziestej wpadliśmy na widownię dużej sceny TPB. Na szczęście pierwszy, zaplanowany na piątek koncert, jeszcze się nie zaczął. Usiedliśmy więc zadowoleni, że mamy chwilę na to, żeby odsapnąć, jednocześnie mogąc obserwować to, co już mieściło się na scenie. A tam, rozplanowane swobodnie według czterech stanowisk, porozstawiane były instrumenty najróżniejszej maści. I podkreślić należy, iż słowo „instrumenty” nie ma tu bynajmniej wydźwięku pejoratywnego, czy obniżającego wartość tychże przedmiotów. Mogliśmy więc podziwiać m.in. miniaturową gitarę elektryczną, małe pianino, cymbały, czy niewielkich rozmiarów harmonie. Prócz tego całą masę niedużych oczywiście, zabawkowych instrumentów, plastikowych trąbek, przeszkadzajek, a nawet parę muzycznych wynalazków, które znają tylko muzykom metodą powstały. Z tego, czego zdołałam się dowiedzieć od kilku osób z publiczności po koncercie, największą furorę zrobił tajemniczy instrument wyglądający trochę niby świetlisty miecz, którego miarowe pocieranie generowało dziwaczne dźwięki o dużym natężeniu i niezwyklej barwie. Po chwili do całej tej menażerii dołączyło czworo muzyków (piąty był niestety nieobecny, ponieważ, jak się później dowiadaliśmy, akurat bardzo intensywnie spodziewał się potomka). Owa czwórka przystąpiła do swoich stanowisk i już po chwili na scenie zaczęły się dziać rzeczy niezwykle. Oto bowiem wszystkie wymienione przeze mnie przedmioty oraz cała ich reszta, której drobiazgowo opisać nie sposób, za spr-

wą artystów ożyły i poczęły generować niezwykłą harmonię dźwięków, stukotów, popiskiwań, zamruczeń, melodii i rytmicznych hałasów. Od pierwszych wygrywanych taktów zaczęłam przenosić się powoli w baśniowy świat, na który składały się dźwięki przypominające odgłosy wody, tłącego się, to za chwilę rozbuchanego już ognia, czy dmącego wiatru. Muzycy tworzyli ten niezwykle bajkowy klimat wykonując wobec instrumentów wyważone, precyzyjne ruchy. Ruchy tak niewielkie i subtelne, jak instrumentarium, którym się posługiwali. Dynamiczny obraz, który widziałam na scenie przywodził mi na myśl, że ci właśnie muzycy to tak naprawdę alchemicy, przygotowujący przy użyciu tych niezwykle przedmiotów sekretne, muzyczne specyfiki, po których zażyciu wkracza się w

świat tajemniczych krajobrazów, postaci, sytuacji. Każdy z instrumentów miał tego wieczoru swe idealne w danej chwili miejsce. A traktowany z należnym sobie pietyzmem magicznie ożywał tworząc wraz z innymi idealną całość. Muzyka chwilami kojarzyła się z tą obecną w filmach Davida Lyncha, dźwięki bowiem ociekały tajemniczością, niepokojem, dając jednocześnie możliwość zatonięcia w pozornie bezpiecznej błogości. Artyści z Wrocławia rozpoczęli ten muzyczny, piątkowy wieczór bardzo dużą dawką pozytywnej energii (niezwykle kwartet miniaturowo fortepianowy) i niezgłębionej tajemniczości. I za te wszystkie emocje wielkie im dzięki. **jp**



CZARNY SZUM ANTYMATERII

Jako drugi tego wieczoru na scenie pojawił się Arnaud Riviére, czyli paryski anty-DJ. Ta postać stworzyła wręcz doskonałą antytezę dla dopiero co odsłuchanego koncertu Małych Instrumentów. Riviére po zdawkowym *bonsoir* wnet zabrał się do rzeczy, usadawiając się samotnie przy małym stoliku na przedzie sceny. Generowane przez niego zgrzytliwo-szurliwe dźwięki to wznosiły się na poziom hałasu wręcz „kosmicznego”, to schodziły zaledwie na stopień huraganu czy umykały w głębokie kopalniane dudnienie, które wtem przemieniało się w dźwięk jakby kopania w trumnę przez kogoś zakopanego żywcem. Niektóre dźwięki przypominały plusk elektrycznej wody, poprzez dźwięki niemal można było dostrzec widoczne iskry czy impulsy elektryczne unoszące się w powietrzu. Riviére maltretował winylową płytę metalową pokrywką, łapał anteną nadслyszalne piski, wyginał przewody i szurał grubymi sprężynami, zwiastując jakby złowieszczą erę technologii. Cały jego występ był spójny – wytwarzane dźwięki, pozorny beład stosowanych narzędzi i specyficzny wygląd tworzyły pewną antymaterialną jakość, która głęboko do mnie przemówiła. **mz**

PASJA NA MIKSERSKIM STOLE

Zgoła odmienny, choć na równi dźwiękoposzukiwawczy charakter miał występ Francuza Arnauda Riviére’a. Jakże odmienny od wcześniejszego był to widok i dźwięk. Po pierwsze ze sceny znikło całe mnóstwo okupujących ją jeszcze przed paroma chwilami instrumentów, po to by mogło się tam pojawić ascetyczne biurko jedynie ze stołem mikerskim, płatiną przewodów i składzikiem „narzędzi”. Po drugie zaś, miast głośniejszych niekiedy, acz bajkowych dźwięków, słyszeć zaczęliśmy mniej lub bardziej kontrolowane wybuchy surowej, muzycznej energii. Francuski artysta, przy użyciu gramofonowych płyt, metalowych „talerzy” i wynalazków wytwarzał ogłuszające sekwencje arytmicznych hałasów, od których raz po raz cierpła mi skóra. To dopiero była energia. Surowość tych niezwykle dźwięków stworzyła mi w głowie obraz psychopatycznej pasji, a surowość obrazu tego widowiska tylko ten efekt potęgowała. Agresywne wręcz momentami poczynania muzyczne artysty, były czymś zaskakującym, niesamowitym i pozostawiającym niezatarty ślad intensywności jego dźwiękowych dokonań. **jp**



POCZYTAJ MI...

Niespodziewany performance sygnowany marką Szkoła Bydgoska, choć zatytułowany „Czytanie”, nie przypominał czytania do snu, które wciąż tak lubię, mimo mej pełnoletności. Tutaj nie było mowy o tym, by zasnąć – z czego bardzo się cieszę. Oto bowiem pomiędzy występem genialnego Francuza a kwintetem Mazzol/Dobie/Wanders/Janicki/Janicki na scenie przygotowanej już na przybycie tych ostatnich, pojawiło się sześć krzeseł dla Sześciu Czytaczy. Już po chwili zaczęli pojawiać się stopniowo, powoli (po kolei Zamiara, ZbyZiel (który, jak zapowiedział nadworny konferansjer Tomasz Kaźmierski, wymyślił „Czytanie”), Woźniak, Gruse, Pleszyński, Janicki) i każdy z nich za-

czynał czytać to, co zdawałoby się miał akurat pod ręką i na co miał ochotę. Już po chwili nastąpiła osobliwa kakofonia czytanych wersetów. Z harmonijnej dysharmonii raz po raz słychać było wybijające się, głośniejsze głosy Pleszyńskiego i Gruse. Ten pierwszy w pewnym momencie porzucił wspólną sytuację czytania dla czytania i zaczął zwracać się konkretnie do osoby z widowni, jakoby poszukując słuchacza. Byliśmy więc świadkami kilkuminutowego osobliwego czytania razem, ale osobno, po czym artyści poczęli opuszczać krzesła i scenę w kolejności odwrotnej do tej przybycia. Gdy nastąpiła cisza, a na sali zostali tylko ZbyZiel i Zamiara, z widowni padło: „Przepraszam, ale było niewyraźnie. Czy moglibyście jeszcze raz przeczytać?!”. Jak dla mnie – czemu nie. **jp**



PEŁNOKRWISTY KWINTET



Jako ostatnia na scenie Teatru Polskiego pojawiła się międzynarodowa konstelacja pięciu muzyków w osobach Jerzego Mazolewskiego – Mazzolla, Jona Dobie, Krisa Wandersa, Sławka Janickiego i Qby Janickiego. Na początku na scenie pojawił się sam Mazzoll, akcentując we wprowadzeniu, że w tej konstelacji brakuje jeszcze jednego muzyka, który nie dojechał – śp. Jacka Majewskiego, współzałożyciela Mózgu. Po tym preludium Mazzoll i Janiccy podjęli rozpoczęty na pogrzebie Jacka temat, powolnie bujający w rytm kontrabas Sławka Janickiego, który z wolna zaczął się coraz bardziej rozkręcać. Klarnet Mazzolla nieco się wycofał, do bardziej wyrazistego głosu natomiast doszła perkusja Qby Janickiego, po czym gitarowo tło zaczął wypełniać Jon Dobie, do którego po chwili dołączył Kris Wanders, mocno akcentując frazy na swoim saksofonie. W pewnym momencie Mazzoll i Wanders zaczęli się przekomarzać, grając wysoko, niemal unisono, stymulując resztę do wyzwolenia radykalnej arytmii. Gdy w pewnym momencie klarnet Mazzolla przerwał swoją alikwotyczną ciągłość, nastąpił moment szatańskiej perkusyjnej inwazji Qby Janickiego, którą ów zakończył ciśnięciem pałki w publiczność, pozostawiając na moment Mazzolla i Sławka Janickiego oddanym dwoistym rozważaniom. Następnie Qba Janicki wrócił z powolnym bitem, podczas którego Mazzoll poczęł wypełniać przestrzeń przetworzonym elektronicznie dźwiękiem klarnetu. Dołączył do niego Sła-

wek Janicki, szurając z cicha smyczkiem, później Dobie, maszynowo pocierając gitarę. Obaj Janiccy spłynęli w szczątkowe, porozrywane frazy, po czym przeszywające solo Wandersa obiegało salę teatru. Po powrocie i rozjuszeniu całego kwintetu sinusoidalnie poczęły po sobie następować dźwiękowe podchody muzyków, aż w pewnym momencie pauzy drapieżny temat podjął na gitarze Jon Dobie, za którym, jak na sygnał, wnet ruszyła reszta instrumentów, które zaczęły wyznaczać indywidualne, niezwykle absorbujące dźwiękowe tunele. Występ kwintetu zakończył Mazzoll nucąc piosenkę o tym, co się dzieje, „kiedy idzie z Andrzejem”. Żegnając się z publicznością Kris Wanders uniósł swój saksofon niczym magiczny artefakt, pozdrawiając nim widownię. **mz**



CHŁOPAKI MIHUYAKI

Ostatni koncert piątkowego wieczoru odbiegał od reszty nie tylko miejscem wykonania, ale także muzycznym klimatem. Bydgoska formacja Mihuyaki, prezentująca się w klubie Mózg, sprawiła bowiem, że tym razem nie mieliśmy do czynienia z typowo poszukującymi niekonwencjonalnych dźwięków zabiegami (choć miarowe pocieranie basu, szuranie grzechotą, czy ewolucje wykonywane na leżącej gitarze nosiły takie znamiona) czy freejazzowym, rytmicznym hałasem. A to wszystko za sprawą obecnej elektroniki, przywodzącej na myśl DJ-skie klimaty oraz dwóm saksofonom wygrywającym melodyjne sekwencje dźwięków. Całość okraszona basem i perkusją zdawała się być spójna. Koncert różniący się od wcześniejszych tego dnia awangardowych prezentacji zamknęła ten wieczór przyjemnym, klubowym finałem, jak na piątkowy wieczór przystało. **jp**



Ostatni dzień V Mózg Festiwalu zapowiada się równie, o ile nie bardziej, obiecująco jak poprzednie. Pod wpływem zasłyszanych dźwięków, oglądanych obrazów zamieniamy się w kapsuły niecodziennych wrażeń, które będziemy mogli odbezpieczyć, kiedykolwiek nam przyjdzie ochota. Jeśli jeszcze tego nie odczuliście, jestem pewien, że po jutrzejszym wieczorze to się zmieni... **mz**